

Anatol Ryżkin, ur. 26 marca 1928 r. w Liżie. Syn Sergiusza i Walerii z domu Czerkies. Mieszkaliśmy w majątku Tarnowszczyzna, gm. Białohruś, pow. Lida. Ojciec był właścicielem w prywatnym majątku, własność hrabiny Marii Ekser. Ojciec miał plenipotencję do załatwiania wszystkich spraw tego majątku. Na tym terenie było 5-6 gajowych. Ojciec był Rosjaninem, urodzonym w Moskwie, był oficerem armii carskiej. W czasie rewolucji uciekł z Rosji, całą jego rodzinę rozstrzelano w czasie rewolucji. Matka pochodziła z Nowogródzkiego, ojciec był zawiadowcą stacji. ~~W~~

Życie przed wojną. Sytuacja materialna rodziny była dobra, ojciec dobrze zarabiał. Do szkoły chodziłem w Białohrudzie. Moim głównym zajęciem po szkole, szczególnie zimą było polowanie.

Deportacja miała miejsce w nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku. Wywieziono matkę, mnie i siostrę, ojciec wcześniej uciekł sam, gdyż matka nie chciała opuścić miejsca zamieszkania.

Miejscowa ludność nie znała bolszewików. Niektórzy nawet witali ich z zadowoleniem. Mówili, niektórzy, że teraz dopiero zaświeci nam słońce. Mieszkaliśmy wśród ludności zdecydowanie białoruskojęzycznej - w okolicznych wioskach. Natomiast w gminie Białohrudzie - tutaj była mieszczanina. W szkole chyba z połową dzieci była z rodzin białoruskojęzycznych. Ale w szkole mówiono po polsku. Białohruś leżała na takim terenie pagórkowatym, dlatego m.in. wojsko z Lidy przyjeżdżało uczyć się zjeżdżać na nartach.

Nauczycielem był m.in. Wyżczycki. Być może uczył on polskiego. Większość ludzi była katolicka. Ludzie nie mieli pojęcia, jak naprawę wygląda ten raj bolszewicki. Kiedy weszli Rosjanie, to ludność miejscowa z okolicznych wiosek napadła na sad majątkowy. Była też próba rabunku wytwórni serów holenderskich. W majątku były krowy holenderskie, wysoko- i na tej bazie żył z Lidy prowadził wytwórnię serów. Ludzie z wiosek otoczyli tą wytwórnię, żeby wszystko zrabować. Wtedy nadjechał ten szierżawca, z ciężarówkami, z karabinami i z czerwonymi opaskami - tylko po to, żeby uratować swój dobytek.

Wkroczenie Rosjan. Zobaczyłem dwóch żołnierzy ze zwiadu. W przeddzień w majątku zatrzymał się wycofujący się pułk naszego wojska - PCK. Kiedy usłyszano komunikat o wkroczeniu wojsk sowieckich, pułkownik zarządził odprawę i rozpuścił żołnierzy. W dwa czy trzy dni po tym pierwszym zwiadzie sowieckim została zorganizowana oblawa przez wojsko rosyjskie. Otoczono cały nasz budynek z karabinami maszynowymi, żołnierze z pepeszani. Kilku oficerów weszło do naszego mieszkania i kazali pokazać, gdzie są oficerowie polscy. Zrobili rewizję w domu, nikogo nie znaleźli. Potem nas z tego domu wygnali, a w budynku rozlokowało się wojsko. My przeniesiliśmy się na działkę, którą kiedyś ojciec ockupił 5-7 km od majątku Tarnowszczyzna, między wsią Bobowca a Kąpniki, tuż przy szosie Lida-Grodno. Mielismy tam dom, stodołę i stajnię. Tam mieszkał nasz dziadek z dwoma synami i córką /dziadek Czerkies/. Starszy syn Romuald Czerkies potem

Anatol Ryżkin

wyszadł z Syberii z kościuszkowcami, zginął pod Warszawą. Młodszy - Henryk Czerkies jest teraz w Gdyni.

Deportacja transport trwał około 3 tygodni. Mogliśmy ze sobą zabrać bardzo mało, bo nadzór był bardzo ostry, może dlatego, że nie zasatali ojca. Spodziewali się prawdopodobnie dużego oporu, bo do nas przyjechał oficer i 4-5 żołnierzy /inni deportowani mówili, że do niektórych przyjechał tylko 1 żołnierz/. Zabraliśmy tylko to, co ja zapakowałem, bo matka rozpoczęła i siostra /małozna/ też płakała. W drodze od czasu do czasu można było dostać wrzółku, czasami pajdę chleba. W wagonach było bardzo ciasno, w wagonie był kaluteński piecyk, ale było ciężko z opałem. Dojechaliśmy przez Lidę aż do Nowosybirsk; końcowa stacja Asino. Stąd po raz pierwszy wyszliśmy z wagonów, przesiadaliśmy się na sanie. Stamtąd przez trzy dni jechaliśmy w głąb tajgi. Dojechaliśmy do ośrodka Wierchnie Zecharkowski Bor. Były to 3 duże służbie baraki podzielone na pół. Tam nas wyładowano, spaliśmy na deskach. Co kilka rodzin było przejście. Dzieci, starcy i obłożnie chorzy nie pracowali. Mieli za to ograniczoną porcję żywności. Żywność polegała na: 200 gr chleba dla niepracujących; pracujący dostawali 400 gr, na obiad zalewajkę zwaną zupa - była to woda z makaronem. W tym ośrodku było około 120 rodzin. Najbardziej dała się nam we znaki pierwsza wiosna, bo swoje zapasy się skończyły, a ludzie byli jeszcze przyzwyczajeni do jakiejś żywności. Ratunek nastąpił wczesnym latem, gdy pokazały się grzyby. Dzieci w szczeni i starsi po pracy chodzili na grzyby. Pani Skinder odłączyła się od grupy, zabłądziła i nocowała sama w szczerzej tajdze, w takim spichlerzyku: na 4 palach był zbudowany taki pojemnik na borówki - borówki zbierano latem, zsypanywano je, one zamarzały i zimą je wywożono. W tajdze były niedźwiedzie, rysie i rosomaki - te 3 zwierzęta mogły zaatakować, pani Skinder musiała więc przy każdym odgłosie przeżywać okropny strach. Ale na drugi dzień ją znaleźliśmy.

Najbliżej od naszego ośrodka była osada zamieszkała przez zesłańców z lat 1930-ych, przeważnie z Ukrainy. Niektórzy z nas przekradali się do tej osady, żeby wywieźć jakiś ciuch na ziemniaki. Ludziom tym nie można było opuszczać miejsca zamieszkania, ich swego czasu też przywieziono ~~xxxxxxxkxxxkxxx~~ Baraki były zbudowane kiedyś wcześniej przez ludzi pracujących przy wyrębie lasu zimą. Ich przywieziono barkami latem, wysadzono na brzegu i koniec, kazano się zagospodarowywać. Oni z czasem pobudowali sobie chatki, wykarczowali trochę ziemi pod ziemniaki, mieli krowę. Nad rzeką Iri-Juk mieszkają jeszcze dwie rodziny od czasów carskich. Starszerek opowiadał mi, że uciekł w tajgę, żeby nie służyć w wojsku; ci utrzymywali się wyłącznie z darów tajgi: ryb, jagód, polowania. Naszorował nas taki Ukraińiec. Przykre było to, kiedy ktoś z naszych mówił o powrocie do Polski /zawsze pojawiały się takie słuchy, że ktoś staje w naszej obronie - Anglia, Ameryka i t.d./, wtedy on się zatrzy-

Anatol Ryżkin

dywał, pokazywał palcem w dół i mówił: "Wt zież wasza Polska, zież wsie podochnietie". Moja matka mówiła do niego, że język rosyjski jest taki piękny, że jest tyle dobrych słów, że zdychają psy, a ludzie umierają, ale on pokreślał, że "wsie podochnietie".

Organizowanie się Polaków na zesłaniu - nic takiego nie zauważyłem. Dzieci - te najbardziej wynędzniałe chodziły na śmietniki, żeby znaleźć bodaj obirzynę od ziemniaków /nawet w 30-stopniowy mróz, bez butów/. Dużo śpiewano - pieśni patriotyczne, w maju - nabożeństwo majowe. Ale nie wolno było organizować wojsk. Nie wolno było żadnego obrazka powiesić. Na majowe zbieraliśmy się. Kiedy dawano sygnał, że idzie nadzorca, a śpiewaliśmy /a, in. piosenkę o naszej deportacji - na melodię "Tri tankista"/, wtedy moja matka zaczynała po rosyjsku śpiewać: "Bonaprasnu wańka chożisz- ponaprasnu nożki bjosz, niczewo ty nie połuczysz, durakom comoj pojaiosz". Wtórował pan Skinner i inni. Skinnerowie byli z okolic Liśy. Skinnerowie chyba wyszli z wojskiem Andersa.

Łączność z krajem była - jeśli ktoś miał znajomych czy krewnych gdzieś na kresach, to łączność miał.

Wiosną 40-go roku zabłądził jeden chłopczyk, lat 5-7. Nie odnaleźliśmy go, szukano przez kilka dni. Znalazłem go /jego zwłoki/ w takim małym dozorku dozorca - na bagnach. Dziecko musiało przejść przez bagna i tam zmarło-usnęło z głodu. To był wstrząsający widok. O tej śmierci musiał wcześniej wiedzieć nadzorca, bo on był przede mną w tym dozorku, ale nie zawiadomił Polaków o tym, żeby zooszczędzić tych parę esek na trumnie.

Podczas pierwszej zimy sporo osób zmarło. Choroby rozpoczęły się bardzo szybko, tyfus i t.p.

Jesienią 40-go roku przyjechał z Zacharkowa na lustrację naszego obozu NKWDziista Żeba. Dowiedział się skądś, że p. Skinner miał radio, a moja matka miała mały aparat fotograficzny - Koska. Żeba wszczął właścicieli, skoafiskował te przedmioty. Przy następnej wizycie zjawił się w naszym naszym byłego gajowego - nazwisko Redzko. W baraku wisiały pieluszki, a to było ze szpilek sanitarnych zabronione. Wtedy Redzko zerwał je i poceptał buciorami. Jedną z kobiet powiedziała: "Panie Redzko, bój się pan Boga." A Redzko na to: "Zież Boga niet i u mienia Boga niet", - powiedział po rosyjsku. Dwoje starszych dzieci Redzki natychmiast zachorowało niewiadomo na co - zmarły w ciągu 2-3 dni. Wszyscy ludzie pokazywali Redzko palcami i pytali: "Redzko, jest Bóg czy Boga nie ma?". Żona wypłakiwała oczy, że to była kara Boska. To zapamiętałem bardzo dobrze. Wiem, że Redzko jest w Szczecińsku, jest w lasnictwie. Próbowałem go zaprosić na polowanie, oszukał mnie we Wrocławiu przez osoby trzecie przekazał zaproszenie, ale ja nie pojechałem, taki zachowałem do niego uraz z tej Syberii.

Były więc różne zachowania na zesłaniu.

W tym pierwszym miejscu pobytu matka pracowała w kuchni. Potem byliśmy

we wsi Minajewka - matka była osizolowana od nas na drugą stronę rzeki Czudź - o kilkadziesiąt kilometrów. Po koniec 41-go roku, kiedy zaczęła się szara wycofaliśmy się z obozu. Matka została zatrudniona w kółchozie przy ciężkich pracach fizycznych, latem kopła jakieś duże doły. Kiedy chciała nas odwiedzić - mnie i siostrę - musiała ze swojej racji chleba uszkładać tyle, żeby zapłacić przewoźnikowi, który przewoził przez rzekę. Siostra wtedy jeszcze nie pracowała, była za młoda, natomiast ja od stycznia 1942 roku byłam zatrudniona w charakterze myśliwego. Wiosną, latem i wczesną jesienią byłam w tej Minajewce. To była wioska, nas rozparcelowali po chatach gospodarzy - to byli wcześniej zasiedzkali Rosjanie. Byli wśród mieszkańców tej wioski też nadczużynscy Tatarzy /priczukowski tatarzy/, którzy mówili absolutnie niezrozumiałym dla nas językiem. Właśnie z takimi ludźmi starymi myśliwymi byłam na polowaniu w tajdze. To była wyprawa bardzo ciężka, zimą, na dwa miesiące. Trzeba było ze sobą wziąć cały zapas żywności: suchary, 2-3 kg soli, łyżkę soli; reszta ładunku to był namiot, siekiera, piła, piecyk, broń, amunicja. Na taką wyprawę brałam 6 kg śrutu. Szliśmy o własnych siłach aż za ten osrodek Zacharkowski, dalej wg kompasu w tajgę. Spaliśmy na śniegu - udeptywaliśmy śnieg, ja niekiedy za siedzenia narębać gałązek świerkowych na posłanie, pośliznęłam się ręką pod głowę i spało się. Wtedy bardzo się dziwiłam, że śpię na śniegu i żyję. Nie rozbieraliśmy się przez całą noc, w kufach i watowanych spodniach.

Z obozu Zacharkowskiego ludzie rozjeżdżali się kto jak mógł. Niektórzy wcześniej trafili do wojska, niektórzy wcześniej zatrzymali się w innych osrodkach. Pozano wtedy do wiadomości, że jesteście wolni i każdy wycofawał się jak mógł. Matka nasza czekała, aż będzie można jechać saniami, bo nie chciała zostawiać dzieci - koca i pośuszki, a nieść tego nie mogła, bo wos było jeszcze dwoje dzieci.

Kiedy matka nas odwiedzała w Minajewce, któregoś razu spóźniła się do pracy w kółchozie. Została ukarana - osądzona, potrącanie zarobków.

Dzieciak z synami i córką postanowił pojechać do osroka budowanego przez pana Pukińskiego. /Dzieciak zmarł, gdyż z głodu oskopał padlinę i zjadł/. Matka przez cały ten czas aż do wyjazdu na Kaukaz pracowała w kółchozie.

Kaukaz - trafiliśmy do swinoswochozu Komar. Matka pracowała tam w ogrodnictwie, a ja w stolarni w charakterze bednarza. Kierownikiem tej stolarni był inżynier Pukiński. Pracowało tam kilku pracowników. Byłam początkowo pomocnikiem bednarza, a potem, gdy bednarz odszedł, odpowiadałam za produkcję beczek do wożenia wody, na kilkadziesiąt litrów. W tym sowchozie było kilkanaście rodzin Polaków: Pukińscy, Żurkowscy, Buczyński Jakimowicz i chyba p. Grabowska. Pani Grabowska w obozie jeszcze urodziła dziecko i tam jej mąż uginął przy spalaniu drzew, utonął. Dziecko żyło. Ja na Kaukazie bardzo cierpiełam - ze względu na dolegliwości

Akator Ryżkin

zołądkowe. Nie odpowiadała mi ta żywność: chleb z kukurydzy, krugie
danie z kukurydzy, kukurydza na okrągło. Mieszkaliśmy w jakichś lepian-
kach, dokwaterowano nas do ludności miejscowej. To byli Rosjanie.
Dokuczaka nam tu saleria i krwawe biegunki. Bardzo złe było z opałem:
był bezkresny step, paliło się słoną, suchą ziemią i wysuszonym kaja-
nem krowia. Ten okres dla mnie po względem zerowotnym był gorszy niż w
tajdze. Siostra chodziła już do szkoły rosyjskiej.

Na Kaukazie byli Polacy zatrudnieni przy różnych pracach polowych,
m.in. przy suszeniu zboża. Tam kosili kosbażami, zsypywali ziarno pod
górną niebem, na ubitej ziemi. Ziarno się zaparza, leży na deszczu. Po-
tem przewożono to ziarno do jakiegoś podziuszczania. Trzeba było potem to
ziarno łopatami bez przerwy przesypywać, suszyć. Właśnie przy takim "ko-
patowaniu" zginął jeden kolega - choźnik też do Białołrudzkiej szkoły.
Zginął tak: przy wchożeniu z tej suszarni znaleziono u niego w kiesze-
ni trochę pszenicy, aresztowali, powieźli do Stawropola, osądzi i -
w więzieniu zmarł.

Nie pamiętałem, by mnie w tym sowchozie płacono, żebym dostawał jakieś
pieniężce. Łosowano tam świnie i uprawiano zboże. Step był bezkresny,
było dużo wilków.

Tam docierały do nas już informacje o froncie. Przed przywiezieniem
nas tam teren był oczyszczony jeszcze przed natarciem niemieckim - nie
było więc wystarczającej siły roboczej. Przewiezion więc Polaków jako
siłę roboczą i równocześnie nas "polepszono byt". Polepszanie polegało
na tym, że tam już do nas było ukraść parę gram pszenicy - czy zjeść na
surowo, czy ugotować. Rosła tam kukurydza - nikt nie ukrał worka, ale
zawsze jedną kolbę mógł do kieszeni schować. A tego na Syberii nie było.

Na Kaukazie nas uświadamiano, że byłem tym rocznikiem, który był przy-
gotowywany do służby wojskowej w wojsku rosyjskim. Między innymi ćwic-
zenia wojskowe i oni tylko dzielili mnie od poborów.

W czasie akcji paszportyzacji matka oszłowała przyjęcie obywatelstwa
raźnieckiego, zachowała jakiś skrawek dokumentu polskiego. Kiedy utwo-
rzył się Związek Patriotów Polskich, to wtedy nagabywanie o przyjęcie
obywatelstwa raźnieckiego ustało. Mieliśmy wtedy już trochę więcej swo-
body. Pan Pukiński jeździł wtedy do Stawropola, zakatwiał karty repatri-
cyjne. O repatriację dowiedzieliśmy się ze Stawropola w 1946 r. Pracowa-
liśmy do 19 lutego 1946 r.

Przed wyjazdem trzeba było udowodnić, że się jest Polakiem, trzeba
było mieć jakiś dokument. Tani musieli to zakatwiał poprzez świątków.
Pamiętam, że ktoś przemycał jakąś dziewczynkę, która nie miała żadnych
dokumentów polskich.

W sowchozie kontaktów z miejscową ludnością żadnych nie było. Ludzie
ci nie wierzyli, że przed wojną w Polsce było tak czy tak. W czasie szk-
lenia wojskowego jeden chłopak zaczął mnie pytać o Polskę. Powieźniałem

Anatol Ryżkin

że w Polsce było dobrze i że w Rosji za cara też było lepiej /wiedziałem o tym od ojca/. Chłopak ten nie wierzył, porażkiem mu, żeby zapytał swoją matkę. I ona zapytała matkę prasy i ta potwierdziła moje słowa. Chłopak powiedział: "Mama, ty też brieszesz". Był nie wierzył własnej matce, tak miał wpojone, że w kapitalizmie jest bicia.

Repatriacja. Trafiliśmy do Krakowa, nie zastydowaliśmy się jechać dalej. Matka miała siostrę w Myślenicach i tam chciała jechać. W Myślenicach byliśmy od marca chyba do końca sierpnia, ale nie było tam gdzie mieszkać. 1 września udałem się do Wrocławia na poszukiwanie pracy. Zatrudniłem się w Rzędzie Miejskiej jako goniec, rozpocząłem nadrabianie zakreślonych obowiązków - chciałem zrobić przy okazji jakąś naturęś. Żadnej pomocy dla repatriantów nie dostawałem. Prawdopodobnie matka z siostrą w Myślenicach otrzymała coś z odzieży i żywności. Po kilku miesiącach matka też przyjechała do Wrocławia. Dostałem przyznaną na jakiś pokój z kuchnią. We Wrocławiu byli jeszcze Niemcy. Dostałem przyznaną na to mieszkanie na Krkownicach, gdzie mieszkali jeszcze Niemcy. Mieszkałem przez jakiś parę miesięcy z takim małżeństwem staruszków Niemców. Kiedy przyjechała mama z siostrą to mieszkaliśmy przez kilka miesięcy w tym 9-metrowym pokoiku. Całe miasto Niemców zabrali Rosjanie - wojskowi. Kiedy tylko Niemcy się wyprowadzali, pojeżdżali Rosjanie i zabierali wszystko, co było się zabierać. A my mieliśmy swoje kufajki i jakieś drobne rzeczy.

Niemcy na pewno mieli do nas żal, że zajmujemy ich domy, ale nie mieliśmy w naszym domu żadnych konfliktów. Natomiast kiedy wracaliśmy wieczorem ze szkoły - to było Liceum Spółdzielcze na Worcella - to wieczorami mijaliśmy na ul. Kraszińskiego Niemców prowadzonych w kierunku Dworca Głównego, przeważnie staruszków, chociaż było też bywało. Kilka razy słyszałem wołanie o pomoc, prawdopodobnie więc ktoś próbował wyrwać jakiegoś staruszcza czy staruszkowi tą walizkę z ręki, bo wiadomo, że dawać ci ludzie szli na stworzyć. A co mógł taki człowiek nieść? To samo, co my mogliśmy zabierać, kiedy nas deportowano. Miałem to podobne uczucie, że jest to to samo, co było z nami, tylko ta różnica, że oni mieli czas na przygotowanie i ich nie wywożono tak siłą jak nas, i nie do tajgi. To była dobra wola, wzięto ich do swoich, nie tak pod bronią jak nas. Ale elementy górskie śledziły i tutaj, skoro słyszałem kilkakrotnie wołanie pomocy.

Pobyt - ocena: Dziadek zmarł z głodu/najedł się psyllay/. Ciotka miała wypadek przy wyrębie lasu w tajdze. Po przyjeździe na Dolny Śląsk opuścił ją brat. Ciotka zachorowała psychicznie - to były chyba sprawy urazowe z zesłania /jest w zakłazie w Lubiążu/. Matka miała jedyną radość, że siężyła wrócić do Polski. Mnie trzymało przy życiu to polowanie w tajdze.

Wychowanie w Polsce już nie mogłem uzupełnić tak jak bym chciał

Anatol Ryżkin

Zrobiłem naturę. Chciałem pójść do szkoły wojskowej, ale ankietę moja nie przeszła. Byłem potraktowany jako wrogi element. W wojsku jako technik nie byłem. Byłem jednak na przeszkoleniu wojskowym w 1955 roku zimą. Trafiliem wówczas do Łodzi na szkolenie medyczne - sanitarne. Tam spośród trzydziestu tylko dwóch nas miało naturę. Jeden z pułkowników kazał mi, żebym został na akademii, ale to już było dla mnie za późno - miałem już sympatię we Wrocławiu.

Siostra też nie ułożyło się za bardzo. Wyszła za mąż za wojskowego. Potem rozwiodła się. Siostra nie ma ani wykształcenia ani zawodu.

Jeszcze z Minajewki

Samolety robiły rajdy w tajgę. Kiedy zaobserwowano gdzieś dym od ognia, to robiono obławę. Obława ruszała zimą. Byłem świadkiem, jak wywołali staruszkę do kołchozu. To byli ludzie, którzy w tajgę szukali wolności - uciekali przed kolektywizacją albo służbą w wojsku. Podobno na dopływie Czukynu byli jeszcze oficerowie carscy. Znalaziono tylko świeższe miejsce pobytu, ale ludzie zdążyli się schronić przed obławą. Takie były jeszcze tereny dziewicze w tajgę.